Tom VII. Nr. 16.

1. Grudnia. 1862

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POKUTNIK.

W Milatynie w cudownem miejscu, o którem każdy z was słyszał już nieraz, wychodzili sobie ludzie z kościoła po nabożeństwie, i zaraz koło bramy kościelnej stanęli ciżbą, bo tam stał wóz i para koni, a na wozie leżał jakiś chory, koło którego siedziała kobieta i rzewnie płakała. I zaraz zaczęli się pytać ludzie ciekawi:

— A zkąd wy to kobieto przyjechali? kogo wy to wieziecie?

A kobieta zapłakana mówiła:

— Ja jadę ze wsi Zaproszowic, dobre 20 mil ztąd, i wiozę mego męża do tego cudownego miejsca, do Pana Jezusa Milatyńskiego.

I patrzyli się ludzie na tego chorego, a on na jedno oko nie widział, bo mu wyciekło, prawą rękę miał skrzywioną, jakby korba jaka, a z nogi jednej odleciały mu kości aż do kolana. I stękał ten kaleka nieznośnie i wołał:

— O Panie Jezusie Milatyński! zmiłujże się nademną — a wy też dobrzy ludzie proście za mną, aby się raz obróciło na którą stronę ze mną kaleką.

I zlazła ta kobieta z wozu, poprawiła łachy na sobie i pobiegła do kościoła, tam poszła do kościelnego, który wyglądał bielutki jak drzewo kwitnące, a nachylał się ku ziemi za każdym krokiem, i umiałci opowiadać o przeróżnych cudach milatyńskich. I mówiła kobieta do niego z płaczem:

— Mój dziadusiu słodki, pokażcie mi też, gdzie tu siedzi xiądz, aby wysłuchał spowiedzi tego biedaka.

I dziaduś przyprowadził kapłana, który poszedł do wozu i długo słuchał spowiedzi tego chorego, potem go zakomunikował i odszedł.

Ale ciekawy dziaduś kościelny przysunął się potem do wozu, opatrzył chorego i pyta go:

— A co wam to się stało, że wam tak prawą rękę połamało i pół nogi odleciało?

A chory pokiwał głową i powiedział:

Oj dziadku, dziadku! może to i słuszna kara Boska na mnie biedaka spadła — zawinił ja nieraz w życiu, to też teraz trza cierpieć, byle jeno na tamtym świecie było jako inaczej.

A dziaduś nie był ciekawy, jakie tam winy miał ten chory, jeno się zapytał:

— A co to wy za jeden? bo widać po ubraniu, że to wy coś z waszecia.

A chory mu odpowiedział:

— Siądźcie sobie na chwilkę dziadusiu, to ja wam też opowiem moje przygody. Oto widzicie, ja byłem zdrów i mocny — ojciec mię dawał do szkoły i wyuczyłem się czytać, pisać, i zabrałem dosyć pracy po ojcach. Byłem szczęśliwy, bom się ożenił z tą kobieciną. Ale obrała mię gromada Zaproszowicka najprzód za takiego pisarza, co to i podatki odbiera i pisze dla gromady co jeno potrzeba. Potem obrały mię inne gromady na około za takiego pisarza, i byłem takim pisarzem na kilka gromad, począwszy od Kołodnika aż do Bednarki wielkiej. Było i pisaniny, i roboty i krętaniny dosyć, ale była i zapłata. I to mię mój dziadusiu na biedę przywiodło, a trza będzie i życiem przepłacić, a co gorsze, może i dusza moja pójdzie marnie.

I zapłakał chory pisarz, a dziaduś mu mówił słodziutko:

— Ej! co tam rozpaczać, kiedy Pan Jezus daje czas do żalu i poprawy! I wyście teraz na dobrej drodze, jak ja uważam — a jeżlibyście byli na złej drodze, to jeno pojednać się z Bogiem i ludźmi i być dobrym katolikiem, a Pan Jezus miłosierny zrobi swoje i nie zagubi grzesznika. Ale cożto się stało z waszem zdrowiem takiego?

A kobiecina pisarza odrzekła:

— Widzicie dziadusiu! coś mu w oko wpadło i zaczęło oko puchnąć, i nic a nic nie pomogło, aż i oko wyciekło do kapki. I ledwo go oko przestało boleć, to znowu wlazło mu coś do prawej ręki i bolało i łamało po kości, aż i skręciło rękę jakby kij jaki. I znowu zrobiła się jakaś bolączka na nodze, i boli i boli i żaden doktor nie poradzi na to; i patrzcie! odleciało mu wszystko ciało aż do kolana. Ale już tego bolu to podobno nie wytrzyma i trza mu ginąć z tego świata.

I ocierała sobie oczy zapaską i wzdychała do Pana Jezusa Milatyńskiego.

A dziaduś bielutki mówi jej:

— Ej! kobieto, nie płaczcie, dobry to Pan Jezus, raz cię utnie aż ręce odpadną, ale też jak się grzesznik pomiarkuje i zmieni na dobrego katolika, to znowu jak pobłogosławi, to ci ta ziemia rajem się staje.

I obrócił się dziaduś do chorego i mówił mu:

— A wy człowieku znoście to cierpliwie, a i wam ulży Pan Jezus miłosierny — może to już i koniec pokuty waszej.

A chory otarł sobie oczy i gadał:

— Ej gdzie ta koniec — bo widzicie dziadusiu, ja mam nadaną pokutę wielką. Nakazał mi jeden biskup odwidzić siedm miejsc cudownych, i byłem ja ci z tą moją babiną już na Kalwaryi wielkiej aż koło Krakowa, byłem i w Krakowie u Panny Maryi, i w Leżajsku, i na drugiej Kalwaryi pod Przemyślem, i w Sokalu, i w Rzeszowie, a teraz przyjechałem tu do Milatyna i trza jeszcze jechać gdzie do cudownego miejsca, i wszędzie muszę się spowiadać z grzechów moich i muszę jeszcze do tego wszystkiego opowiedzieć ludziom, którzy ze mną gadają, te moje straszne winy, których ja się dopuszczał, aby

oni widząc karę Boską na mnie widoczną, kajali się od podobnych win.

A dziaduś zadumał się i powiedział:

— Ha! to co innego, ja o tem nie wiedziałem.

I znowu począł gadać chory pokutnik:

— Otoż widzicie dziadusiu, że ja mam za co pokutować na tym świecie. I widzicie, dał mi Pan Jezus dosyć rozumu, uczyłem się najlepiej w szkole naszej, alem tego rozumu i tej nauki na złe używał, za to mi wziął Pan Jezus najpierwej to oko. Ja nierozumny jako pisarz nie uważałem na to i pisywałem fałszywe dokumenta, krzywdziłem wdowy i sieroty, pisałem niesprawiedliwe supliki i szachrowałem w rachunkach, to mi też Pan Jezus pokręcił rękę prawą za to. Ale ja i na to nie zważałem, chodziłem ze skargami fałszywemi to na panów, to na xięży, buntowałem gromady o lasy, łąki i pastwiska, i byłem tu i owdzie za tem, straciłem niemało ludzkich pieniędzy i widać za to odjął mi Pan Jezus tę nogę. Teraz dopiero opamiętałem się trochę i pojechałem do biskupa, kiedy był w naszej wsi na wizycie ot dwa roki temu, i ten biskup Boży otworzył mi oczy, wysłuchał mię spowiedzi i dał mi pokutę, którą odbywam już dwa roki. I lżej mi teraz na sumieniu, choć choroba moja dokucza mi strasznie. Ale jak ta będzie z duszą moją na sądzie strasznym, to wie sam Pan Jezus miłosierny.

I opuścił na dół głowę pokutnik, złożył ręce i począł odmawiać jakąś modlitwę, a dziaduś odezwał się do niego:

— Ja ta nie wiem, co to ludzie wyrabiają teraz. Każdy tylko łakomy i łakomy, każdy chciałby drugiemu wszystko zabrać i nie pyta się, czy to można czy nie. Toć i ja mam już sto pięć lat jak uciął, pamiętam też tyle czasów, i wiem, że dawniej mieli panowie nie tyle, co dziś mają, a chłopi nie mieli tego, co im dziś daje Pan Jezus, i były też i przednowki wielkie, i nie było tyle zarobku, a przecież jeden drugiemu nie zazdrościł, biedny nie patrzył łakomem okiem na pańskie i chłopskie lasy, a komornik nie pragnął cudzej skiby ani zagona, a kto miał krowinę to ją nie umorzył, choć nie miał pastwiska swego. Byli bogaci i biedni, a przecież biedni nie umierali z głodu pod płotem, ani ich nie chowali bez trumny,

choć ta i patyka swego nie mieli, ani bez śmiertelnej koszuli, choć ta i zagonka swego nigdy nie posiadali. I nieśli ludzie nie tak na ofiary jak dziś, i stawiali kościoły i kaplice, i były śluby, wesela, chrzciny nie takie jak dziś, bo też i ja bywałem u ludzi i pamiętam sobie to wszystko. A dziś to każdy jenoby darł i brał, a to wszystko mamona, jak Pan Jezus powiedział, a jeno życie katolickie dobre i pobożne, pracowite i ciche płaci nam na tym i na tamtym świecie. Toć ja sam mam tylko te dziesięć palców, ani chałupiny, ani zagonka nie wziąłem po ojcach, a przecie przeżyłem sto lat i wychowałem pięć córek i pięciu synów, i wywianowałem jak można po Bogu, a nigdy nie zazdrościłem, nie łaknąłem, anim pomyślał o cudzem zdziobełku. I żyję i Boga chwalę i czekam śmierci i sądu Bożego.

A chory pokutnik patrzył na dziadusia jakby na anioła bielutkiego i rozpłakał się i powiedział mu:

— O dziadusiu, dziadusiu! jaki wy dziś szczęśliwy że wy legacie i wstajecie spokojny, i idziecie sobie prawie co dzień do świętego kościoła i pracujecie, i co macie, to zjecie i tem się odziejecie, a nigdy więcej nie pragniecie. Gdybym to ja był miał taki rozum, do dziś byłbym zdrowiutki jak wy i szczęśliwy, a teraz co się to dzieje ze mną.

A dziaduś go ciesząc mówił:

— Nie tylko ci mogą być zbawieni, którzy całe życie obeszli się bez wielkich grzechów, ale i ci, którzy po jakim grzechu zaraz się upamiętali i odpokutowali, ba nawet żal w godzinę śmierci może wyjednać u Pana Jezusa miłosierdzie jakie. I nie gryźcie się tyle, skoro już tyle czasów pokutujecie, ale jedźcie sobie ztąd prosto do miejsca cudownego, abyście ukończyli tę podróż i w domu spokojnie czekali, co tam dalej zrobi z wami Pan Jezus.

I chciał dziaduś odejść, ale chory pokutnik zagadał go jeszcze:

— Mój dziadusiu! pobłogosław też mię i zmów paciorek nademną, a twoje błogosławieństwo może mi wyprosi co u Pana Jezusa.

I położył dziaduś swoje ręce stare i drżące na głowę pokutnika i mówił:

— Niech ci Pan Jezus daruje twoje winy, a twoim dzieciom niech da lepszy rozum, a z ciebie niech sobie biorą przykład inne gromady, aby wiedziały, że pobożne życie daje spokój i błogosławieństwo i długie lata, a grzechy łakomstwa, pijaństwa, niezgody ukrócają ludziom życie i gubią ich na wieki.

I odszedł dziaduś, a chory pokutnik odjechał dalej w drogę. Ludzie z Milatyna gadali o nim i podumali się na jego życie. A gdzież on teraz? Już stoi na sądzie Bożym, a z nas nikt nie wie, co zrobił z jego duszą Pan Jezus.

I niech wam gromady stoi za przykład ten pokutnik, abyście poprzestali pragnąć cudzej rzeczy i nie żyli cygaństwem, a jeżli są między wami obałamuceni, to niech się poprawiają jak ten pokutnik. Oby wam dopomógł do tego Pan Jezus miłosierny!

X. Wojciech z Medyki.

Rozmowa.

— A co ci to Bartku miły
Czegoś zwiesił głowę?
Czyć się strachy znów przyśniły,
Jakieś bajki nowe?

— E daj mi ta spokój bracie
Nie nudź wesołością;
Wy bo w głowach wróble macie,
A mnie ginąć złością.

— O bratuniu a niechże cię
Bóg chlebem zarzuci,
Ale powiedz że mi przecie
Co tak ciebie smuci.

Może Baśka ci dopiekła,
Bo to dziewka żwawa,
Może pszeniczka się spiekła,
Lub pożółkła trawa?

— At! nie wywołuj nieszczęcie,
Ja ci powiem szczerze:
Coś mnie bardzo świerzbią pięście.
I złość wielka bierze.

Bójka mi się ciągle widzi,
Ciągle przypomina,
A siedzenie tak mnie chydzi,
Jak wściekłego ślina.

I sam nie wiem, jak to będzie,
Jaki koniec temu,
Zaś gdy bieda na łeb wsiędzie,
Dam cięgi któremu.

— A niechże cię Bartku ślepy,
Gdzieżeś podział głowę?
Toż co żywo chwytaj cepy,
Bij żytko zimowe.

— Zaś patrzy się żeś ty ślepy,
I lala cacana,
Co zaś cepy, tobie cepy
Mnie lanca ułana.

— A tak gadaj bratku miły
Toć już wiem którędy.
I mnie ręce nie odgniły,
Razem pójdziem wszędy.

Razem bratku bić będziemy,
Razem jak barana,
Zaś wiesz kogo, wszyscy wiemy,
Oj! danaż oj! dana.

Jak się Dudziarzowi odpłacił Bilka,

albo:

Nosił wilk owce, ponieśli i wilka.

Już to z każdym dniem nabierają u nas ludzie coraz więcej rozumu, ale przecież znajdzie się jeszcze tu i owdzie jeden lub drugi, co to ludziska wierzą w niego jak w świętą ewangielię, a on ich wszystkich tumani na piękne.

Owoż do takich tumanów należał także niedawno zmarły Wojciech Dudziarz, świeć tam Panie nad jego duszą, co to mieszkał w Senatowie, małe pół milki od Jaworowa. Niejeden z was moi kochani, co w tamtych stronach mieszka, musiał go znać i przypomni go sobie, ci zaś, co to o nim jeszcze nie słyszeli, niech się o tem z Dzwonka dowiedzą. Boć to ten Wojciech Dudziarz należał do tych ludzi, co to się nie lada gdzie rodzą na kamieniu; niby malarz, niby doktor, niby prorok, w takiem był poważaniu u ludzi, że każdy przed nim czapkował, jakby przed panem lub xiędzem. Jak się ustroił w niebieską kapotę, czapkę nasunął na uszy, i wziął sękatą palicę do ręki, tak wam wyglądał poważnie i zamaszyście, że nawet i sam wójt, co sobie także był człek stateczny, jakiego szukaj, musiał iść w kąt przed nim. Posłuchajcie zaś teraz, jakim to sposobem ten Wojciech Dudziarz do takiego przyszedł poważania i znaczenia.

W młodym jeszcze wieku zabłąkał się on Bóg wie zkąd w Senatowie, a stanąwszy u nieboszczyka Krupy na służbę, ożenił się niebawem z jego jedynaczką, a po śmierci swego dobrodzieja dostał chociaż mały, ale cały majątek w spuściznie. Ale że to nasz Wojciech był człowiek zachłanny, a przytem zmyślny jak mało, więc chwycił się naraz ni ztąd ni zowąd do malowania. Przygotował on sobie różnej wielkości deszczułeczki, z nich powyrzynał wizerunki Pana Jezusa, Matki Bo-

skiej, świętego Piotra i innych co znajomszych świętych. Mając już takie deszczułki przygotowane, pocierał on je jakiemś czernidłem, i potem obrazy te odciskał na papierze. A warto też było widzieć te obrazy: nie było tam znać ani nosa, ani ócz, ani rąk nawet, i gdyby nie podpis pod spodem, to by nawet nikt nie odgadł, że to mają być wizerunki jakichś świętych — ot istne bohomazy, co to ni do Boga ni do ludzi nie podobne. Narobiwszy sobie spory tłumoczek takich obrazków, puszczał się nasz Wojciech z niemi w świat między ludzi. Szedł on ode wsi do wsi, z chałupy do chałupy i nuże wszędzie przechwalać swoje obrazki, i namawiać ludzi do kupowania.

— Oto w tej kupie — prawi on, są obrazki Matki Boskiej ocierane o cudowne obrazy w Częstochowie, Sokalu, Podkamieniu — a tu znowu prawdziwe wizerunki Pana Jezusa, które przez trzy dni leżały na ołtarzu cudownego Pana Jezusa Milatyńskiego — tu znowu poświęcane obrazki świętego Floryana, patrona od pożarów i złodziei, kupcie go sobie i powieście w chałupie, a nigdy wam ogień i zły człowiek szkodzić nie będzie — w tej mniejszej paczce są znowu poświęcane wizerunki świętej Rozalii, patronki od morowego powietrza, kupcie no jeno i zawieście w stajni nad drzwiami, i za parę krajcarów zabezpieczycie się na zawsze od nieszczęścia, bo zaraza nigdy się waszej chudoby nie czepi... I póty przechwalał, namawiał i nie ustąpił się z chałupy, dopóki za parę krajcarów, za kilka jaj, lub za kwartę jakiego ziarna nie pozbył się chociaż jednego obrazka. W taką podróż wybierał się zwykle w jesieni, gdzie to w każdej chałupie mógł coś zastać, a obszedłszy kilka mil wszerz i wzdłuż, powracał na zimę dobrze obładowany do domu, gdzie znowu przez cały czas malował obrazki na sprzedaż. Toć też po kilku latach tak się nasz Dudziarz spanoszył, że sobie i nową postawił chałupę niby dworek jaki, i gruntu miał więcej aniżeli najzamożniejszy kmieć we wsi. Powoli jednak poznali się ludzie na jego oszukaństwie, a gdy się tylko w jakiej wsi pokazał, to już każdy naprzód drzwi przed nim zasuwał.

Zmiarkowawszy więc Dudziarz, że mu się ten sposób zarobkowania już urwał, zarzucił teraz malowanie, i zrobił się

naraz doktorem. Z razu narzucał się on sam każdemu ze swemi lekarstwami i radami, a przeto z czasem takiego nabył rozgłosu, że ludziska pchali się do niego jakby na najem. A posłuchajcie no, jakich to leków nasz Dudziarz używał. Owoż kto miał boleści we środku, temu kazał on jeść kaszę z woskiem, pić wódkę z ciemierzycą i smarować się okowitą; kto miał febrę, temu kazał znowu pić wódkę z pieprzem i piołunem, albo poobrzynać paznokcie z nóg, i z rąk, i uciąć trochę włosów z głowy, a zawiązawszy je w małym woreczku, i dodawszy do tego parę krajcarów, położyć to wszystko na krzyżującej się drodze — ktoby ten woreczek podjął, tego miała się febra przyczepić; nareszcie kazał on także przeciwko febrze nosić na piersiach jakąś karteczkę, na której były napisane jakieś tajemne słowa krwią sowy, która miała być na nowiu przed wschodem słońca złapaną i zabitą; kto się zalił na kaszel, temu znowu kazał pójść do karczmy, wypić kwaterkę wódki i splunąć trzy razy na klamkę ode drzwi, pierwszy, który chwycił za klamkę, miał się tym kaszlem zarazić. A trzeba to było dopiero widzieć, jak to Wojciech zdejmywał z kogoś uroki... co tam było opluwania, kadzenia, zamawiania, tegoby nawet i nikt nie spamiętał sobie. Ale to jeszcze nie cała sztuka naszego Wojciecha, bo onci był także zawołanym doktorem dla zakochanego serca. Niechno który parobczak nie mógł się podobać dziewuszce, która mu się nadała, albo niechno jaka podstarzała dziewucha nie mogła do siebie zwabić chłopców, którzy jej przypadli do smaku, zaraz ci udawali się do Wojciecha po radę i pomoc, a on sprzedawał im drogo Bóg wie jakie krople, do których jak powiadał, musiał zbierać przez trzy poranki rosę, przez trzy wieczory korzenie, i przez trzy północy kwiat paproci.

Za te wszystkie leki i rady zdzierał Dudziarz nielitościwie wszystkich, co się do niego udawali, i z tego też niebawem tak się spanoszył, i w taką urosł dumę i hardość, że już nawet i nie przystępuj bez kija do niego. Z razu wierzyli ludziska w ten spryt Wojciecha, ale przekonawszy się, że to było tylko czyste oszukaństwo, odstręczyli się znowu w krótkim czasie wszyscy od niego.

Mając już takie piękne gospodarstwo, i nie mało grosza w skrzyni, trzeba tylko było naszemu Dudziarzowi siedzieć sobie przy żonie spokojnie w domu, jak u Pana Boga za drzwiami, i nie oszukiwać dalej poczciwych ludzi; ale Dudziarz znowu sobie nowy sposób zarobkowania wymyślił.

Owoż dawniéj jeszcze, włócząc się po świecie, przydybał Wojciech Dudziarz jakiegoś parobczaka Marcinka, sierotę, i gdy z rozmowy poznał, że ten Marcinek był sobie także zmyślny i sprytny jak rzadko, wziął go więc ze sobą do Senatowa, bo mu też właśnie niedawno jego sługa był odeszedł. Zrazu więc krzątał się Marcinek koło gospodarstwa, a gdy się Wojciech przekonał, że się może we wszystkiem spuścić na niego, posyłał go poźniej po wsiach z obrazkami, nauczył go przyrządzać niektóre lekarstwa, słowem zrobił go spólnikiem i pomocnikiem we wszystkich swoich sprawach. Dlatego też przywołał Wojciech i teraz Marcinka do siebie, i tak rzecze do niego:

— Widzi mi się mój kochany, że się tobie jeszcze chleb w domu moim nie przejadł, a ty mnie także dotychczas byłeś na rękę, jeżeli mi więc i nadal zostaniesz wiernym, to i mnie będzie dobrze, i tobie nie źle dziać się będzie. Ot widzisz, że nie mam więcej dzieci, jeno tę córkę jedynaczkę, za którą jak widzę, mile się oglądasz; bądź mi więc i teraz usłużnym i pomocnym, a jeżeli dziewucha nie będzie ci krzywą, to wyprawię ci i weselisko...

— Wszystko będę wam robić, miły gospodarzu i dobrodzieju mój — odrzeknie Marcinek — co jeno tylko zechcecie, bo widzi mi się, że ja bym bez was już żyć nie mógł, i... bez waszej Marysi — dodał ciszej.

— Kiedy tak, to słuchajże, co ci powiem, kochany Marcinku — zagada Wojciech znowu. — Otoż przyszła mi znowu dobra myśl do głowy, a jeżeli nam się uda, to znowu nie mało grosza wpłynie do naszej skrzyni, a to tak: ty Marcinku wypatrzysz sobie w dzień jakie dobre miejsce, a w nocy pójdziesz i ukradniesz jaką rzecz i przechowasz ją w lesie lub gdzie indziej. Gdy zaś na drugi dzień zrobi się krzyk we wsi, ty wmieszaj się między ludzi i namawiaj ich, aby się do mnie

udali po radę, a ja jako wróżbita pewnie im prawdziwego złodzieja odkryję.

I stało się tak, jak Wojciech Dudziarz powiedział.

W nocy poszedł sprytny Marcinek, wyprowadził zamożnemu gospodarzowi Kaczurbie najpiękniejszą krowę ze stajni, i przywiązał ją w lesie do drzewa. Skoro świt powstał wielki krzyk i zbiegowisko ludzi koło Kaczurby, któremu w nocy krowa zginęła. Wepchał się tam także i Marcinek, a pytając się o przyczynę tego hałasu, rzecze do Kaczurby: ano udajcie się kumie do mego gospodarza, to może on wam jako wróż wynajdzie złodzieja. Dał się namówić Kaczurba, a udawszy się do Wojciecha, zaczął mu swoje nieszczęście rozpowiadać. Dudziarz wysłuchawszy wszystkiego, wyjął ze skrzyni jakąś wielką xiążkę i zaczyna niby to czytać: Wam dzisiaj zginęła siwa krowa?

— A tak, tak — odezwie się Kaczurba.

— Miała ona gwiazdkę na czole, i jeden róg odłamany, — czyta Wojciech dalej.

— Taka sama, taka sama — odpowiada Kaczurba.

— Nie turbujcie się więc miły kumie — prawi znowu Wojciech — bo wasza zguba się znajdzie, tak tu stoi napisano; i pokazuje Kaczurbie xiążkę.

Kaczurba wpatrzył się w xiążkę, jak sroka w kość, bo nie był piśmienny, i rzecze do Wojciecha: oj żeby to się sprawdziło, to jabym wam za wasze święte słowa pewnie nie pożałował, czegobyście jeno sami żądali.

— Owoż krowę waszą ukradł tej nocy złodziej — czyta Wojciech dalej — a nie mogąc z nią daleko uciekać, przechował ją sobie w lesie. Idźcie więc do lasu, a tam w tym klinie za zrębem przy tym wysokim dębie, co to łońskiego roku piorun w niego strzelił, znajdziecie waszą krowę przywiązaną do niego.

Zrobił więc Kaczurba, jak mu Wojciech kazał, a gdy swoją krowę odszukał, nietylko że Dudziarzowi dobrze zapłacił, ale i przed ludźmi nie mógł się o jego mądrości naopowiadać.

Za parę dni ukradł znowu Marcinek u Szczerbów nowiusieńki kożuch i przechował go w jakiejś dziurawej wierzbie.

Zakłopotany Szczerba udał się znowu po radę do Wojciecha, a gdy mu tenże tak samo szczęśliwie wywróżył, gdzie ma swego kożucha szukać, znowu nie małą za to otrzymał nagrodę.

Ale jak każde oszukaństwo, tak i to fałszywe wróżenie nie mogło się długo udawać. Dlatego też zdarzyło się, że gdy znowu jednej nocy Marcinek wyprowadzał Mróczkowi spasionego wieprza, narobił tenże wielkiego kwiku, domownicy się pobudzili, i Marcinek został złapany. Z wielkiego strachu, i nie mając już innego sposobu aby się wykręcić, wyznał Marcinek szczerą prawdę, za co go Mróczek wolno puścił. Piorunem rozniosła się ta sprawka po całej wsi, każdy kipiał od złości na Dudziarza wróżbitę, i przemyśliwał nad tem, jakby się jemu za to wszystko odpłacić. Kiedy tak we wsi tajemnie nad Dudziarzem radzą, zajechał znowu do niego nad wieczorem Maciej Bilka z Rulowa, i zaczyna go prosić, aby mu był łaskaw powiedzieć, jaka też temu przyczyna, że w jego domu, co go sobie dawniej wybudował, jakoś mu się nie szczęści, że mu dzieci umierają, że mu bydło ginie, i inne jeszcze nieszczęścia się dzieją. A trzeba wam wiedzieć, że Maciej był już uprzedzony o wszystkich sprawkach Dudziarza, bo zajechawszy przed karczmę w Senatowie, dowiedział się o tem od tamtejszych gospodarzy, którzy go prosili, aby im zaraz dał znać, jaką odpowiedź na swoje zapytania od proroka dostanie. Wysłuchawszy Wojciech wszystkie skargi Macieja Bilki, zaczął znowu coś długo przewracać w swojej proroczej xiędze, a na koniec rzecze: Złeście miejsce wybrali kochany Macieju na waszą chałupę; bo zaraz koło niej na prawym rogu od północy leży w ziemi kość człowiecza, czarną szmatą obwinięta i czarną nicią obwiązana. Dla tego też kręcą się koło waszej chałupy nieczyste duchy i upiory, i różne wam psoty wyrabiają, i dopóty to wszystko nie ustanie, dopóki ta czarna kość ztamtąd się nie wykopie i na cmentarzu nie zagrzebie. Jeżeli więc chcecie, to pojadę jutro z wami na miejsce, a dzisiaj muszę się do tego przygotować, bo to będzie nie lada sprawa z duchami. Został się więc Maciej na noc u Wojciecha, a raniuteńko mieli oba pojechać do Rulowa. Gdy się już dobrze zmierzchło, a Maciej już niby chrapał na ławie, a tymczasem

na wszystko dobrze uważał, co się koło niego działo, wyszedł Wojciech na palcach z chałupy i niebawem przyniósł ze sobą jakąś wielką kość, zapewne z jakiegoś zdechłego bydlęcia, i obwinął ją czarną szmatą, obwiązał czarną nicią i schowawszy ją sobie za obraz, udał się także na spoczynek. Gdy Maciej zauważał, że Wojciech spi jak zabity, wstał po cichu z ławy, wyjął tę czarną kość z po za obraza, i uciekł z nią prosto do karczmy. Tutaj opowiedział rzecz całą przed zgromadzonymi gospodarzami, a ci zaczęli się naradzać, jakby to sobie z Wojciechem postąpić. Za poradą Macieja przebrało się kilku co najtęższych chłopów w białe prześcieradła, w powywracane kożuchy, i udając nibyto duchów, udali się około północy do mieszkania Dudziarza. Tutaj porwali go śpiącego na ręce, i niosą z wielkim śmiechem i hałasem do karczmy. Zbudziwszy się Dudziarz, myślał już na pewne, że go owe złe duchy niosą do piekła za to, że ich chciał z Maciejowego obejścia wypędzić. Kiedy już owe mniemane duchy stanęły przed karczmą, gdzie się już przy miesięcznej nocy cała wieś zebrała, położyli naszego wróżbitę na ziemię, związali mu ręce i nogi, i zaczęli go ową czarną kością na wszystkie boki okładać. Już tam każdy miał coś na Dudziarza napiętego, i starał mu się to kułakiem, to kijem, to nareszcie bodaj nogą oddać za swoje, i kto wie coby się z naszym wróżem stało, gdyby nie pan leśniczy, co mieszkał niedaleko, usłyszawszy ten krzyk wyprosił go od dalszej kary. Od tego czasu nikt już nie wierzył Wojciechowi, i wszyscy mieli go za oszusta. Także już mu się nie wiodło, wszystko marniało, bo na wszystkiem była krzywda ludzka. Wojciech ze zmartwienia rozchorował się, a niebawem zmarł nawet.

Po nieboszczyku Dudziarzu została się tylko jego szesnastoletnia córka Marynia. Śliczna to była czarnobrewa, jak łania, a jak się tylko gdzie na targu lub jarmarku ukazała, to nietylko wiejscy, ale i miejscy za nią się oglądali i daremnie ślinkę połykali, bo Marynia była już Marcinkowi zaręczoną. Po śmierci więc Wojciecha siedział Marcinek z Marynią na wiarę, odkładając zawsze ślub na ten czas, gdy żałoba wyjdzie po ojcu. Jednakże i rok minął, a Marcinek zwlekał zawsze wesele

z dnia na dzień, a tymczasem sprzedawał potajemnie dobytek i co tylko mógł, aż nareszcie w jesieni tak wyniszczył Marysię, że jej nie zostawił nic więcej, jeno maleńkie dziecię przy piersiach i cztery nagie ściany, a sam uciekł gdzieś w świat za oczy i przepadł bez słychu i dychu, jakby kamień w wodę rzucił. Od tego czasu zaczęła Marysia z wielkiej rozpaczy zaglądać do kieliszka, a kiedy jeno sobie tego niewdzięcznego Marcinka przypomniała, to tak ją coś w środku gryzło, i póty nie miała spokoju, dopóki tego robaka nie zalała. A że to przytem młodość jej i cudna uroda wszystkich biła w oczy, to też zaczęli do niej parobcy chodzić na wieczornice, a ponieważ ona na wszystkich była łaskawa, to tak się chłopcy do niej znęcili, żebyś ich nawet kijem nie odpędził, i aż wstydno mi powiedzieć, na jaką hańbę Marysię sprowadzili.

Sześć lat skończy się niezadługo, jak Dudziarz umarł; majątek jego jak przyszedł tak poszedł, a córka jego żyje dotychczas w wielkiej niesławie. Co się ludzie nie starali, aby ją naprowadzić na drogą dobrą, ale wszystko nic nie pomogło, bo widać że już tak Pan Bóg sam chciał, aby pokaranie za ojcowe winy spadło i na nią.

Ano bracia kochani macie znowu jeden przykład, jak to niejeden was za nos potrafi wodzić, a nikt temu nie winien jeno wy sami, że mało jeszcze macie rozumu, a nie chcecie się niczego nauczyć. Nie jest że to wstyd, hańba i pośmiewisko ludzkie, że ze wszystkich tych, co się po radę do Wojciecha udawali, żaden nie umiał czytać, aby się mógł dokumentnie przekonać, co tam w tej proroczej xiążce stało napisano. Każdy wybałuszył jeno oczy, otworzył gębę z podziwu, i słuchał tych banialuk, co mu je Wojciech plótł ni do ładu ni do składu. Już tam prędzej czy poźniej takie oszukaństwo na wierzch wyjść musi, ale zawsze lepiej samemu mieć tyle rozumu, aby się lada komu nie dawać tumanić.

Jacenty z Magierowa.

Pisanie Franciszka Kantora i Jana Załuchy
gospodarzy ze Szynwałdu.

Obaj ci gospodarze przysłali pismo do Dzwonka, które im dobry pan jeden napisał, bo oni pisać nie umieją, i proszą bardzo aby w Dzwonku wydrukować cosik o tem pisaniu dla przestrogi wszystkim gospodarzom, komornikom, parobkom i ludziom wiejskim. Zaś cała sprawa jest taka.

Franciszek Kantor i Jan Załucha byli gospodarzami w Szynwałdzie, która wieś jest w obwodzie tarnowskim, a o niej pisaliśmy wam niedawno w Dzwonku. Obaj mieli się dość dobrze, a choć i biedy nie brakło, to jakoś ratowali się uczciwym zarobkiem, i głodu ani nędzy nie było u nich. Aż tu na wiosną dowiedzieli się, że jakiś obcy pan w Tarnowie zamawia ludzi do Warszawy, że im obiecuje piękne bardzo gospodarstwa i zarobki, byle jeno z nim jechali tam. Otoż ci gospodarze złakomili się na jego zamawianie, i myśląc sobie że im tam daleko lepiej będzie niż tu, ugodzili się z nim że pojadą. „Odradzał nam — piszą oni — xiądz proboszcz, odradzali i panowie różni, powiadając że on nas tylko tumani ten zawołoka jakiś, ale coż kiedy to u nas tak jest, że jakci co powie xiądz albo pan dziedzic, to ty myślisz że ci na opak radzi a chce twojej zguby, i lada zwijacz ma więcej wiary, jak człek uczciwy. Dopierośmy teraz w naszej biedzie poznali, jak to jest źle nie dawać wiary swoim panom i xiędzom, a słuchać lada przywołoki, co nas buntuje albo do czego podmawia.“

Tak piszą ci gospodarze w swoim liście, a dalej opisują, jakie ich różne spotkały nieszczęścia. Kiedy się już ugodzili z owym obcym, więc sprzedali swoje gospodarstwa i wszystko, a potem żeleźnicą pojechali z nim i z żonami i dziećmi aż do Warszawy. A pierw jeszcze spisali kontrakty z onym zwijaczem, i wedle tych kontraktów mieli oni wszystko dostać co im obiecywał. Więc byli pewni swego i tak zajechali do Warszawy. Zaś ztamtąd powieziono ich i wielu innych co się także dali zbałamucić, żydowskiemi brykami do wsi Żarnówki, gdzie jest panem jakiś niby Moskalisko, bo człek nieuczciwy. Tam zamiast obiecanek kazano im po trzy rodzin mieszkać w jednej starej chałupie, i dano im po morgowi pola tak kamienistego, że z niem nic nie można było zrobić. Oni pokazują mu kontrakta, a ten powiada, że on z nimi żadnego kontraktu nie robił, więc im nic więcej nie da. Poszli na skargę do urzędu, a tam urzęda moskiewskie, więc tylko ich po moskiewsku zwymyślał gubernator, nazwał cyganami, i nawet chciał kazać bić kijami, bo to u Moskali rzecz zwykła a okrócieństw siła.

Otoż tak biedacy ci zostali bez wszystkiego, i jeszcze ich pan nie chciał puścić, aż mu zapłacą za drogę, co za nich płacił na żeleźnicy i indziej. Jak żebracy przyszli nazad do Warszawy, a tam ledwie im dobrzy panowie polscy troszkę mogą pomódz, zaś na wielką biedę zeszli. Co wzięli za sprzedane gospodarstwo, tego już nie ma, i dziś nic nie mają. Przeto im bardzo żal, że się tak dali otumanić i zeszli na biedę, więc chcąc dać przestrogę innym ludziom i braciom, prosili pana jednego polskiego w Warszawie, aby to dokumentnie opisał co oni mu powiedzą, i żeby to wydrukować, aby się o tem ludzie dowiedzieli. Zaś tak prosili, aby napisać do wszystkich: „Słuchajcie dobrych ludzi, co was przestrzegają, czy taki człowiek ma surdut albo sukmanę na grzbiecie, to wszystko jedno, bośmy wszyscy bracia i dzieci jednej ziemi polskiej. Zaś nie słuchajcie przywłoków obcych, którzy was namawiają do złego, do bałamuctw różnych. Pilnujcie swojej ziemi co was żywi i pamiętajcie sobie na nas biednych włóczęgów bez chleba, bez dachu, obdartych, głodnych, z żonami i temi biednemi dziatkami, co się plączą światem i mrą głodem.“

Tak piszą owi dwaj gospodarze, których niejeden z was będzie znał, zaś najwięcej ci, co mieszkają w Szynwałdzie i okolicy. Pisanie ich jest bardzo długie, więc nie mogliśmy całego wydrukować, ale wydrukowaliśmy co najważniejsze sprawy. Otoż macie przykład, jak to źle zabawiać się włóczęgą, i słuchać złych namów. Bo jużci niedobra to rzecz, aby wyprzedawać się z tego gospodarstwa i z tej ziemi, na której się człek urodził, i gdzie leżą ojcowie zmarli. Taka ziemia jest święta, i każdy powinien się jej trzymać przez całe życie, i bronić jej przed złym człowiekiem.

Zaś druga rzecz jest, aby słuchać mądrych i uczciwych ludzi a nie słuchać bałamutów. Toćto xiądz dobrodziej jest osoba święta, i taki grzesznej rzeczy nie powie ani złej rady nie da. Zaś pan dziedzic tylko dobrze może radzić, bo na coż jemu ludzi bałamucić, kiedy on sam z bałamuctw tylkoby miał krzywdę. Każdy się przekona, że to jest prawda i rzecz dobra, aby xięży i panów słuchać, i że oni dobrze zawsze radzą. Nie wierzyli temu obaj gospodarze owi ze Szynwałdu, a teraz przekonali się, ale coż kiedy już za pożno. Pamiętajcież dobrze, abyście zawczasu słuchali, i abyście potem nie wyrzucali sobie tak jak ci obaj, żeście dobrej rady nie słuchali a jeno bałamuctw.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.